

K 2415

REJESTR DOTYCZY:

BOCHENSKI Adolf

Nr rejestracyjny

14/44

s/c i

z d.

* 13 kwietn. 1909 Ponikwa pow. Brody

..... w

kraj:

zginął 18.7.1944 pod Ankoną

+ w

ITALIA

kraj:

pochowany: Loreto cm. pol. gr. 14-E-2, ekshumowany

nr grobu:

Nota zamieszczona:

w tomie

czesci

I n d e k s

ARMIA - ppor.

Copyright: 1970

B.O. Jeżewski

Źródła i bibliografia c.d.:

znak rozpoznawczy

U w a g i:

ppor.

Nota:

Przypisy:

Źródła i bibliografia:

znak rozpoznawczy

- * ~~Spis~~ Wykaz poległych i zmarłych żołnierzy P.S.Z. na
obczyźnie s.168
Zaczęło się w Tobruku" Adam Majewski, wyd.lubelskie
Lublin 1974
"Towarzysz pancerny ppor. Adolf Bochenski" Karol
Pastuszewski, WTK nr 43 27.X.74
- * Kierunki 14.9.75 - "O Adolfie Bochanskim"

165/ 168/

TOWARZYSZ PANCERNY

ppor. ADOLF BOCHENSKI

W CHWILI swojej śmierci Adolf Bocheński nie był młodym żołnierzem — liczył bowiem już 35 lat, a więc jak na podporucznika sporo, był natomiast młodym człowiekiem i niewątpliwie młodym publicystą, który mógłby co najmniej drugie tyle życia owocnie pracować.

Główne założenia polityczne Adolfa Bocheńskiego nie potwierdziły się w świetle późniejszych wypadków dziejowych i nie trudno nam dzisiaj w 30 lat po jego śmierci — zginął 13 lipca 1944 r. pod Ankoną — wykazać, gdzie i jak często nie miał racji. A jednak mimo tego Bocheński stał się tym pisarzem politycznym, którego książki i artykuły stawały trwałą pozycją w dorobku kulturalnym drugiej części okresu międzywojennego, stały się symptomatyczne dla sposobów myślenia sporej części ówczesnego społeczeństwa, a przynajmniej dla pewnych kręgów intelektualnych.

Przegrywając jako pisarz polityczny, uznał że czas modyfikowania piórem tego, co głosił uprzednio, skończył się 1 września 1939 r., pozostała natomiast modyfikacja karabinem i szabłą ułańską. Nie mogło to być łatwe dla niego, stuprocentowego intelektualisty. Przegrywał bowiem — przynajmniej teoretycznie — również jako kandydat na bohatera wojennego. Wątki fizycznie, z wojskową kategorią D, niezdolny do służby frontowej, nie miał na pozór szans dosłużenia się ani stopni wojskowych, ani odznaczeń bojowych, ani nawet przyjęcia do wojska. Ale i tu życie okazało się bardziej przewrotne niż przewidywania znajomych i przyjaciół.

„Nieraz przed wojną — pisze o nim Mieczysław Pruszyński — gdy walczył z antysemityzmem, bronił uwiecznionych komunistów, czy domagał się szerokich praw dla Ukraińców, ciasno myślący szowiniści rzucali nań bolesny zarzut zdrady. Teraz, gdy oni trawili czas na jałowych kłótniach emigranckich, czy w najlepszym razie na poprawnej służbie w wojsku, on brał swój rewanż, wyzywając co dzień śmierć, otwierał sobie drzwi do nieśmiertelności, nie piórem, ale czynem dając dowód swego patriotyzmu. Wreszcie Adolf był pełnej krwi wytworem staropolskiej kultury, która śmierć za ojczyznę najwyżej stawia w dziedzinie ludzkich dokonań”.

Okazało się, że Bocheński umiał sobie poradzić i w twardych warunkach coetgidańskiej podchorążówki, kończąc ją o dziwo nie na jednym z ostatnich, a na jednym z pierwszych miejsc, i później z żołnierzami jako ich dowódca, i z kolegami, którzy skłonni do zabaw i hulańek nie znajdowali w nim kompana.

Zdumiewające były te cechy świetnego współczesnego żołnierza w dawnym wybitnym publicyście poważnego przedwojennego tygodnika, który zdawał się być wyprany z jakichkolwiek zadatków na Jana Skrzetuskiego

ostatniej wojny. Tymczasem jeszcze nim zginął, jego nazwisko stało się legendą. Legendą wśród świetnych przecież żołnierzy, zabijaków z czterech stron świata, którym niełatwo mógł ktośkolwiek i cokolwiek zaimponować.

Tak wspomina Adolfa jeden z podoficerów Karpackiej Brygady — wieloletni żołnierz francuskiej Legii Cudzoziemskiej:

„To był prawdziwy człowiek. Jego trzeba szanować, bo takich jest mało i nie w każdym wojsku można spotkać. Ja takiego jak on jeszcze nie widziałem. Z niego nie ma co się śmiać. On jest jak z książki. Nie tylko prawdziwy żołnierz. Dobrych żołnierzy mamy dużo. To przede wszystkim człowiek”.

Chyba ta ostatnia cecha jest najtrudniejszą w życiu żołnierskim. Bocheński umiał w zdumiewający sposób realizować na wojnie ideały człowieczeństwa i humanitaryzmu, koleżeństwa i pomocy a także służenia innym oraz za innych, poświęcenia. Nie przestając być równocześnie kimś autentycznym, nie przesłodzonym, bez cienia fałszu w postępowaniu.

Autor książki, dr Adam Majewski, lekarz w Dywizji Karpackiej, w skład której wchodził pułk Adolfa Bocheńskiego, przyjął świetną metodę pisarską. Tak się złożyło, że osobiście nie zdążył poznać Adolfa. W biografii swojej oparł się więc na licznych relacjach i przekazach opublikowanych i częściej nieopublikowanych, a także na obfitej korespondencji do i od Bocheńskiego. Materiał zebrał ogromny. I trzeba powiedzieć, wspaniale potrafił go wykorzystać. „Zaczęło się w Tobruku” jest dzięki tej wierności dokumentalnej i autentyczności na pewno cenniejszą pozycją, bardziej plastycznie rysującą postać bohatera, niż gdyby autor napisał powieść o dowódcy „plutonu śmierci”, jak nazywali ułani karpaccy pluton zwiadu ze względu na szczególnie trudne i niebezpieczne zadania do jakich był przeznaczony i używany.

To, że walczył w najbardziej niebezpiecznym oddziale, było kwestią jego uporu i decyzji, którą niejednokrotnie próbowano zmienić, starając się skierować go do służby bezpieczniejszej bardziej odpowiadającej jego cywilnym uzdolnieniom i kwalifikacjom. Nigdy to się jednak nie udało. Wybrał ryzyko śmierci na minie.

KAROL PASTUSZEWSKI

Adam Majewski — „Zaczęło się w Tobruku”, Wyd. Lubelskie, Lublin 1974, str. 436, cena 80 zł.

WTK '9

Adolfowi Bocheńskiemu z życzeniem, by postać Strypa była dlań wzorem w życiu.

— jak i o całej działalności publicznej Adolfa Bocheńskiego w tych latach — napisał Andrzej Micewski obszerny szkic pt. „Poległ w walce z Niemcami” w pracy „W cieniu Marszałka Piłsudskiego”.

Ponieważ jednak książka Micewskiego — wydana nakładem „Czytelnika” w 1968 roku i nosząca podtytuł „Szkice z dziejów myśli politycznej II Rzeczypospolitej” — jest od dawna wyczerpana i stanowi dzisiaj przysłowiowy „biały kruk” poszukiwany przez bibliofilów, więc też wielu czytelników nie miało możliwości zapoznania się z oceną Bocheńskiego w tym szkicu. Po dokładnej analizie Micewski dochodzi do wniosku, że akcenty antyradzieckie książki „Między Niemcami a Rosją” nie były wynalezione przez Adolfa Bocheńskiego.

Iluzje związane z tą polityką żywiły się błędnymi ocenami sytuacji w Związku Radzieckim, teorią „chorego człowieka”. Trzeba przyznać, że wypaczenia w Rosji zaciemniały właściwy obraz. Ale zarazem rozwój przemysłowy ZSRR czynił z tego kraju potęgę europejską, czego zwolennicy teorii „chorego człowieka” zdawali się nie dostrzegać, a o czym pisał nawet moskiewski korespondent „Gazety Polskiej”, organu rządowego.

Dodajmy w tym miejscu, że to, czego nie doceniał w ZSRR Adolf Bocheński, jasno zrozumiał Andrzej

Michał Pruszyński, który od tego czasu był „kamieniem obrazu” dla wszystkich „sztabowców”. Adolf Bocheński był inny — on postanowił swoim postępowaniem, swoją postawą wśród prostych żołnierzy dać nowy model najpierw podchorążego, a potem podporucznika, stworzyć wzorec do naśladowania. Przede wszystkim jako kawaler Maltański chciał swoim przykładem pociągnąć wszystkich „dobrze urodzonych”, jak się to ongiś mówiło, młodych ludzi pochodzących z jego sfery. Po prostu uważał, że przywileje muszą iść w parze z bezgraniczną ofiarnością. Opisuje to wyraziście Andrzej Tarnowski, przyjaciel Bocheńskiego z Pułku Ułanów Karpaccich, z którym na pustyni Egiptu, a potem Iraku czy wreszcie we Włoszech, do ostatniej chwili dzielił wspólny namiot.

Otóż we wspomnieniu pośmiertnym, drukowanym w pamiątkowym organie pułku*) relacjonuje on szczegółowo rozmowę z Adziem, który namawiał go, by w jakiejś akcji pułku we Włoszech wyróżnił się w sposób godny historycznego nazwiska, jakie nosi. Bez względu na to, czy za wyróżnienie takie nie miałby zapłacić życiem. Tarnowski nazywa go „najwspanialszym symbolem Nieskazitelnego Rycerza”.

Ze czar tej nazwy działa dzisiaj, po dziesiątkach lat od bohaterskiej śmierci Adolfa Bocheńskiego — rozszarpanego przez pułapkę minową pod Ankoną 18 lipca 1944 roku —

Umyslnie zacytował szernie fragmenty „W Majewskiego, zanim dalszą treścią jego książki opowieść niezwykle, i bezspornie bardzo — loraami czysto literackimi — toś świadectwa prawdziwej — ona przed zapomnieniem kurzem czasu — koleją, jedną z najpiękniejszych w latach walki — skiego na wszystkich — giej wojny światowej.

Opowieść Majewskiego sta i dogłębnie — szczupła, nie fryzująca — np. te wszystkie — ra André Maurois — rów zachodnich. Maj — nuje, czyniąc to w — szczyry, a zarazem — prostocie i skromności — wa się w myśli, marze — w sny Adolfa Bocheńskiego — prowizacja jego — wiernie z listów Adol — zów wspomnień jego — przede wszystkim — skiego i Janka Meyszt — listów i wynurzeń — mendnych — tych — każde jego słowo — przechowali w wiernie

Bocheński miał — ność czynienia każdego — bliżej zetknął. — względu na to, jakie — przednie nastawienie.

Poglądy polityczne Adolfa Bocheńskiego dobitnie skorygowała historia. W okresie międzywojennym stał blisko tych sił, ulegał i sam tworzył koncepcje, które dalekie były od zgodności z wiodącym i ostatecznie zwycięskim nurtem dziejów. Dramat jego życia i śmierci, wybitne cechy jego charakteru zasługują jednak na przypomnienie i kształtującą refleksję.

O ADOLFIE BOCHEŃSKIM

się zbliżyć do tego młodszego kolegi, sprawiającego wrażenie czupurnego kogucika. Poznałem jego niezwykłą ostrość języka i bezlitosne riposty, jeśli w rozmowie broniło się odmiennie od jego tezy. Ponieważ byliśmy konserwatystami szkoły krakowskiej, więc na ogół nasze poglądy polityczne były zbliżone. Jednak ostrość i krańcowość jego sformułowań była niekiedy szokująca i prowokująca do opozycji.

Bocheński zaperzał się i głosił jeszcze większe herezje. Może teoretycznie bardzo podbudowane, ale całkowicie nie liczące się z warunkami chwili i istniejącym stanem rzeczy. Poza tym zapoznawał on w tym czasie całkowicie wymogi ekonomiczne, których, obawiam się, po prostu nie rozumiał lub nie doceniał.

Wierzbicki z „Lewiatana” po swojej podróży w 1931 r. do Związku Radzieckiego i o czym — po jednym odczycie dla „wtajemniczonych” w Klubie Towarzystwa na Foksalu — zabroniono mu mówić i pisać.

W takiej sytuacji zastał Bocheński we wrześniu 1939 roku wybuch drugiej wojny światowej, zapoczątkowany najazdem hitlerowskim na Polskę. Dalsze jego losy wojenne — po przebyciu w 22 pułku ułanów Kampanii Wrześniowej — przedstawia nam niezwykle szczegółowo i nader sugestywnie książka dr. Adama Majewskiego pt. „Zaczęło się w Tobruku”. Ukazała się ona nakładem Wydawnictwa Lubelskiego równo w 30 rocznicę bohaterskiej śmierci Adolfa Bocheńskiego.

o tym przekonał się najdobitniej dr Adam Majewski. Gdy w pierwszej swojej książce z lat wojny, „Wojna, ludzie i medycyna”, przytoczył m.in. szereg wypowiedzi prostych żołnierzy o „naszym podchorążym z Tobruku”, zasypany został lawiną żołnierskich listów z podziękowaniami za przypomnienie postaci Adzia. Zaskoczyło to dr. Majewskiego i po zapoznaniu się z całością dokumentacji, co zajęło mu blisko rok, postanowił osobie jego poświęcić swoją następną książkę. *Samych listów było ponad trzysta — pieczołowicie zebranych i przechowywanych jak skarb rodzinny przez starszego brata Adzia — Aleksandra. Do tego kilkadziesiąt artykułów, rękopisów i maszynopisów Adolfa Bocheńskiego.*

sze, ta poufalskość w — nie uszczuplała w — jaki powinni odczu — podwładni do przeło — nie — im lepiej i — tym bardziej go lubi — mieli do niego zauf

Po Coëtquidan — p — Podhalańska — pierw — nostka armii gen. Si — na wiosnę 1940 r. p — Niemcami w Norweg — rzej o tym pisał — z — mujący sposób Ksaw — w swoje książce „Dr — Narwik”, nawiasem — sługującej na wzr — przez wydawnictwo — pomnienie nowemu. — leniu, które od tego — Majewski relacjonu



*) „Ułan Karpacki”, styczeń-czerwiec
1945, nr 64, str. 25-28.

się zbliżyć do tego młodszego kolegi, sprawiającego wrażenie czupurnego kogutka. Poznałem jego niezwykle ostrość języka i bezlitosne riposty, jeśli w rozmowie broniło się odmiennie od jego tezy. Ponieważ byliśmy konserwatystami szkoły krakowskiej, więc na ogół nasze poglądy polityczne były zbliżone. Jednak ostrość i kraciwość jego sformułowań była niekiedy szokująca i prowokująca do opozycji.

Bocheński zaperzał się i głosił jeszcze większe herezje. Może teoretycznie bardzo podbudowane, ale całkowicie nie liczące się z warunkami chwili i istniejącym stanem rzeczy. Poza tym zapoznawał on w tym czasie całkowicie wymogi ekonomiczne, których, obawiam się, po prostu nie rozumiał lub nie doceniał. Myślał wyłącznie kategoriami historycznymi, zapominając, że to, co było dobre przed kilku wiekami, w dzisiejszych warunkach, diametralnie innych, nie wytrzymywało często próby życia. Pasjonowała go czysta polityka, i to przede wszystkim stosunki międzynarodowe (choćby najmniej nie pomijał zagadnień wewnętrznych, i tu obaj całkowicie zgadzaliśmy się, np. w negatywnej ocenie roli narodowej demokracji). Potrafił być piekielnie złośliwy i obojętnie przechodził do porządku nad moimi zastrzeżeniami wpływającymi głównie z roli, jaką przypisywałem ówczesnemu krachowi giełdowemu na Wall Street. Krach ten zapoczątkował kryzys gospodarczy, który w najbliższych latach miał obciążyć cały świat kapitalistyczny, pogrążając go w depresji i bezrobociu.

W latach następnych, po powrocie do kraju, straciłem osobisty kontakt z Adziem (tak go wszyscy zwali), bo on kontynuował swe studia we Lwowie, ja zaś — po doktoracie u Adama Krzyżanowskiego — przeniósłem się do Warszawy i rozpocząłem pracę w kredycie zagranicznym w Ministerstwie Skarbu. Słyszałem jednak coraz więcej o jego działalności w „Myśli Mocarstwowej”, do której ja w latach 1926—32 należałem w Krakowie.

Przez wspólnych przyjaciół — zwłaszcza Ksawerego Pruszyńskiego i Konstantego Lubińskiego — miałem więc dokładne wieści o Adolfie Bocheńskim, którego zdolności, erudycja i śmiałość wypowiedzi zwracały powszechną uwagę. I on również po zakończeniu w 1932 r. studiów prawniczych na Uniwersytecie Jana Kazimierza przeniósł się do stolicy. Tutaj włączył się do grona zespołu redakcyjnego „Buntu Młodych” razem m.in. z Konstantym Lubińskim, Janem Frankowskim, obu braćmi Pruszyńskimi (Ksawerym i Mieczysławem) oraz Kazimierzem Studentowiczem. Gdy „Bunt Młodych” w 1937 roku przekształcił się w „Politykę”, Adolf Bocheński (wspólnie ze swoim starszym bratem Aleksandrem) wchodził w skład jej redakcji. Pod auspicjami „Polityki” wydaje w tymże roku swą głośną książkę pt. „Między Niemcami a Rosją”. O książce tej

Wierzbicki z „Lewiatana” po swojej podróży w 1931 r. do Związku Radzieckiego i o czym — po jednym odcycie dla „wtajemniczonych” w Klubie Towarzystwa na Foksalu — zabroniono mu mówić i pisać.

W takiej sytuacji zastał Bocheńskiego we wrześniu 1939 roku wybuch drugiej wojny światowej, zapoczątkowany najazdem hitlerowskim na Polskę. Dalsze jego losy wojenne — po przebyciu w 22 pułku ułanów Kampanii Wrześniowej — przedstawia nam niezwykle szczegółowo i nader sugestywnie książka dr. Adama Majewskiego pt. „Zaczęło się w Tobruku”. Ukazała się ona nakładem Wydawnictwa Lubelskiego równo w 30 rocznicę bohaterskiej śmierci Adolfa Bocheńskiego.

STEFAN ŻUROWSKI

go, w wieku 35 lat, w lipcu 1944 roku pod Ankoną. Książka dr. Majewskiego to druga praca poświęcona wspomnieniu z lat spędzonych przez Autora w II Korpusie Wojska Polskiego na Zachodzie. Pierwsza, pt. „Wojna, ludzie i medycyna”, wydana również w Lublinie w roku 1960, została obrzucona na emigracji w Londynie gradem obelg i wyzwisk.

Londyński „Dziennik Polski” z 16 czerwca 1973 r. zamieścił m. in. listy p. Antoniego Mitreği, uważającego, „że dr. Majewski napisałby swoją książkę „Wojna, ludzie i medycyna” w innym tonie, gdyby w roku 1939 był też oficerem (przed 1939 r. miał kategorię D). Zaś autor drugiego listu p. Leopold Gadżina (chciałoby się powiedzieć: „nomen omen”) domaga się, by „książki, które wydano w kraju... w wiadomym celu, by rozbijać polityczną emigrację — powinno się publicznie palić, by nie rozsiejała komunizycznej zarazy”. I kończy swoje wywody zwrotem: „Pan Jurecki (sanitariusz, któremu dr. Majewski wystawił pozytywne świadectwo — S. Ż.) w dziedzinie medycyny był sanitariuszem, ale w sztuce wojennej był równy dr. Majewskiemu, bo obydwa nie byli w tej wojnie sztabowymi oficerami, a tylko podoficerami”.

Dochodzą mnie wieści, że druga książka dr. Majewskiego, „Zaczęło się w Tobruku”, całkowicie poświęcona osobie Adolfa Bocheńskiego w latach drugiej wojny światowej, została w Londynie przez emigrację przyjęta w analogiczny sposób, i to z tych samych powodów. Kamieniem obrazy jest również krytyczny stosunek bohatera książki do części korpusu oficerów zawodowych, których poziom inteligencji i przedwojenne maniery drylu koszarowego krytykował.

Najsilniej wyraz nastrojom rezerwy — czy to prostych żołnierzy, czy podchorążych lub młodszych oficerów — w stosunku do myślenia oraz sposobu zachowania się we wrześniu pewnej części zawodowej kadry oficerskiej, rzucał na papier w swoich publika-

o tym przekonał się najdobitniej dr. Adam Majewski. Gdy w pierwszej swojej książce z lat wojny, „Wojna, ludzie i medycyna”, przytoczył m. in. szereg wypowiedzi prostych żołnierzy o „naszym podchorążym z Tobruku”, zasypany został lawiną żołnierskich listów z podziękowaniami za przypomnienie postaci Adzia. Zaskoczyło to dr. Majewskiego i po zapoznaniu się z całością dokumentacji, co zajęło mu blisko rok, postanowił osobie jego poświęcić swoją następną książkę. Samych listów było ponad trzysta — pieczołowicie zebranych i przechowywanych jak skarb rodzinny przez starszego brata Adzia — Aleksandra. Do tego kilkadziesiąt artykułów, rękopisów i maszynopisów Adolfa Bocheńskiego.

Kilkanaście prac o nim, parę książek przez niego napisanych — krótko mówiąc: około czterech tysięcy stron i stroniczek, często trudnych do odczytania, bo Adolf miał bardzo niewyraźny charakter pisma.

Postać Adolfa Bocheńskiego — po zapoznaniu się z tym wszystkim — stała się dr. Majewskiemu tak bliska, iż zdecydował napisać opowieść obrazującą jego losy od chwili przekroczenia w końcu września 1939 r. granicy Francji i rozpoczęcia służby wojskowej w Podchorążówce w Coëtquidan aż po jego śmierć we Włoszech 18 lipca 1944 r. Majewski przekonał się po przewertowaniu materiałów, że to, co mówili o nim żołnierze, nie było żadną legendą, a jedynie echem czynów i pracy tego człowieka, którego poświęcenie, myśli i miłość do rodzinnego kraju oraz umiłowanie ludzi przekraczały osiągalne dla przeciętnego rozumowania granice.

To, co żołnierze opowiadali o Bocheńskim, nie tylko było oparte na faktach i dowodach, ale nawet nie upiększało go, po prostu dlatego, że życie tego człowieka nie wymagało żadnego retuszu.

„Adolf Bocheński nie nosił dyktynki generalskich. Walczył i poległ jako dowódca plutonu, ale serca żołnierzy frontowych wybrały go na swego duchowego wodza. Został ideałem i wzorem dla szerokiego mas żołnierskich. Jego czyny i postawa stały się wprost legendarne i jako takie przeszły do historii. Nawet w tej chwili trudno by mi było powiedzieć, czy Adolf Bocheński urodził się o kilka wieków za późno czy za wcześnie. Jego precyzyjna myśl, chłodna trzeźwość w ocenie sytuacji, zdolność wyciągania trafnych wniosków muszą zadziwiać. Emocjonalny stosunek współczesnego człowieka do większości zjawisk ma w porównaniu z jego umysłowością coś pierwotnego. Adolf Bocheński potrafił praktycznie realizować zasady humanizmu, o których od wieków tak wiele mówi się i pisze, ale jakże nieliczni ludzie umieli wprowadzić je w życie.

sze, ta poufałość w pełni nie uszczuplała w niczyj jak powinni odczuwać podwładni do przełożonych — im lepiej i dłużej tym bardziej go lubili i mieli do niego zaufanie.

Po Coëtquidan przetrwał Podhalańska — pierwsza jednostka armii gen. Sikorskiego na wiosnę 1940 r. poszli Niemcami w Norwegię. W rze o tym pisał — zrobił w swoim sposobie Ksawer w swoje książce „Droga Narwik”. nawiasem mówiąc służył w wznosząc przez wydawnictwo MO pominięcie nowemu mieleniu, które od tego czasu Majewski relacjonuje o tę niefortunną i kosztowną francuskie i brytyjskie. I ten idiotyczny postulat, to niezrozumienie Francja ówczesna sypała w sposób skandaliczny którego dramat żołnierzy wyrastał na coś wspierającego.

Przeprawa Bocheńskiego oddziałkiem przez okupację to jedyna w swoim rodzaju. Potem ucieczka z szynskim do Bejrutu w r., z przeżabną sceną wlos uniknęli wpadki francuską. Wszystko zostało rozdaniem który „nigdy w życiu obojętnie koło żadne (str. 140) — jałmużny bejruckim porcie obdarro korsykańscy marynarli tłum kopniakami, pcheńskiego ze środka.

Nowy etap kariery Adzia to samodzielną Strzelców Karpackich pańskiego. Adzio dostałszy Krzyż Waleczny prowadzenie drużyny powaną Francję, a g się u nowego dowódcy Brzowski — ten prorocznym Zycze Panu, żeby w nie dosłużył się Panu Militari.

W tej jednostce Adzia w Tobruku — kto wie, słynniejszym rozdziale epopei. Tu wyspecjalizował się w rozbrajaniu min — je bezpieczniejszych prac żołnierskim — tu wstąpił mi 50 nocnymi patrolami nieprzyjacielskie, z których nialszy można zestaw wyprawą imię pana Brzowski z Jasnej Góry do szwedzkiej kolubryny spalił Włochom. kilkorów przed ich okopami wieżę obserwacyjną, kuczliwą dla naszych wyczyn, zaiste niebywałą Krzyż Virtuti Militari.

Posiekany kulami w 12 miejscach) ze dowiółki się do swoich stał przetransportować w Aleksandrii. Po wy na skutek namowy k

nał się najdobitniej dr
yski. Gdy w pierwszej
e z lat wojny „Wojna,
cyna”, przytoczył m.in.
wiedzi prostych żołnie-
rny podchorążym z Tob-
ów z podziękowaniami
enie postaci Adzia. Za-
r, Majewskiego i po za-
z całością dokumenta-
mu blisko rok, posta-
mu poświęcić swoją
żkę. Samych listów hy-
ysta — pieczętowane
przechowywanych jak
y przez starszego bra-
leksandra. Do tego kil-
tykułów, rękopisów i
Adolfa Bocheńskiego.

rac o nim, parę księ-
o napisanych — kró-
około czterech tysięcy
czek, często trudnych
bo Adolf miał bardzo
arakter pisma.

fa Bocheńskiego — po-
ę z tym wszystkim —
Majewskiemu tak bliska,
napisać opowieść ob-
losy od chwili prze-
ońcu września 1939 r.
ji i rozpoczęcia służby
Podchorążówce w Co-
o jego śmierć w Wło-
1944 r. Majewski prze-
przewertowaniu mate-
o mówili o nim żołnie-
adną legendą, a jedy-
nów i pracy tego czo-
o poświęcenie, myśli
odzinne kraju oraz
dzi przekraczały osią-
ciętnego rozumowania

erze opowiadali o Bo-
tylko było oparte na
odach, ale nawet nie
po prostu dlatego, że
owieka nie wymagało
u.

Bocheński nie nosił dy-
alskich. Walczył i po-
ódca plutonu, ale ser-
ontowych wybrały go
owego wodza. Został
em dla szerokich mas
ego czyny i postawa
ost legendarne i jako
do historii. Nawet w
no by mi było powie-
f Bocheński urodził
eków za późno czy za
o precyzyjna myśl,
ość w ocenie sytuacji,
gania trafnych wnio-
adziwiać. Emocjonal-
półczesnego człowieka
zjawisk ma w porów-
myślnością coś pier-
f Bocheński potrafił
alizować zasady hu-
órzych od wieków tak
i pisze, ale jakże nie-
nteli uprowadzić je w

szę, ta poufalość w pewnym sensie
nie uszczuplała w niczym szacunku,
jaki powinni odczuwać w wojsku
podwładni do przełożonego. Przeciwi-
nie — im lepiej i dłużej go znali,
tym bardziej go lubili i tym większe
mieli do niego zaufanie (str. 57).

Po Coëtquidan przyszła Brygada
Podhalańska — pierwsza wielka jed-
nostka armii gen. Sikorskiego, która
na wiosnę 1940 r. poszła do walki z
Niemcami w Norwegii. Nie będę sze-
rzej o tym pisał — zrobił to w prze-
mający sposób Ksawery Pruszyński
w swoje książce „Droga wiodła przez
Narwik”, nawiasem mówiąc, też za-
sługującej na wzniesienie (może
przez wydawnictwo MON-u?) i przy-
pomnienie nowemu, młodemu pokole-
niu, które od tego czasu wyrosło.
Majewski relacjonuje obszernie całą
tę niefortunną i kompromitującą
sztabu francuskie i brytyjskie impre-
zę. I ten idiotyczny powrót do Bre-
stu, to niezrozumienie sytuacji, że
Francja ówczesna sypała się w gru-
zy w sposób skandaliczny, wobec
którego dramat żołnierza Września
wyrastał na coś wspaniałego.

Przeprawa Bocheńskiego ze swoim
oddziałkiem przez okupowaną Fran-
cję to jedyna w swoim rodzaju epe-
peja. Potem ucieczka z Misiem Pru-
szyńskim do Bejrutu w grudniu 1940
r., z przezabawną sceną, w której o-
włos uniknęli wpadki przed policją
francuską. Wszystko spowodowane
zostało rozdawaniem przez Adzia —
który „nigdy w życiu nie przeszedł
obojętnie koło żadnego biedaka”
(str. 140) — jałmużny zebrzącym w
bejruckim porcie obdartusom, dopie-
ro korsykańscy marynarze rozpedzi-
li tłum kopniakami, porywając Bo-
cheńskiego ze środka.

Nowy etap kariery wojskowej
Adzia to samodzielna Brygada
Strzelców Karpackich generała Ko-
pańskiego. Adzio dostał swój pierw-
szy Krzyż Walecznych za prze-
prowadzenie drużyny przez oku-
powaną Francję, a gdy meldował
się u nowego dowódcy, majora
Brzóska — ten proroczo powiedział:
Życzę Panu, żeby w moim batalio-
nie dosłużył się Pan Krzyża Virtuti
Militari.

W tej jednostce Adzio wylądował
w Tobruku — kto wie, czy nie naj-
słynniejszym rozdziale jego wojennej
epopei. Tu wyspecjalizował się w
rozbrajaniu min — jednej z najnie-
bezpieczniejszych prac w zawodzie
żołnierskim — tu wstawił się swoi-
mi 50 nocnymi patrolami pod linie
nieprzyjacielskie, z których najwspa-
niałszy można zestawzić jedynie z
wyprawą imię pana Babinicza-Kmici-
ca z Jasnej Góry dla wysadzenia
szwedzkiej kolubryny. Bocheński
spalił Włochom kilkadziesiąt met-
rów przed ich okopami, artyleryjską
wieżę obserwacyjną, niezwykle do-
kuczliwą dla naszych wojsk. Za ten
wyczyn, zaiste niebywały, otrzymał
Krzyż Virtuti Militari.

Posiekany kulami włoskimi (rany
w 12 miejscach), ze złamaną nogą,
dowłókl się do swoich okopów i zo-
stał przetransportowany do szpitala
w Aleksandrii. Po wyleczeniu z ran,
na skutek namowy kolegów, prze-

wanych w stopniach podchorążych
i cenzusowców.

Bez radości przyjmuje Bocheński
wiadomość o awansie na podporucz-
nika. Stopień oficerski — dla innych
cel marzeń — dla niego stanowił ba-
rierę oddzielającą od żołnierza, stwa-
rzającą — zwłaszcza w pułku uła-
nów — zbędny dystans. Bocheński
zdołał jednak i tę barierę pokonać.

Kolejno omawia Majewski jego
osiągnięcia na polu naukowym, słu-
żące celom praktycznym, jak pod-
ręcznik nawigacji pustynnej lub re-
gularnie obsługi sprzętu przeciwpan-
cernego zdobytego na Niemcach, z
którym to sprzętem nikt nie umiał
sobie dać rady. Raz jeszcze podzi-
wiamy niezwykle bogactwo i wszech-
stronność talentów, jakimi Bóg tak
bardzo hojnie obdarzył Adzia i któ-
rych on nie zmarnował.

Wojna wyzwala u ludzi albo in-
stynkty najdziksze, albo cechy naj-
piękniejsze, które w tych niezwy-
kłych warunkach znajdują pełnię roz-
woju. Tak właśnie było z Adolfem
Bocheńskim. To, co w latach pokoju
przejawiało się tylko w niezwyklej
erupei intelektualnej, wspaniałej
pasji i temperamencie publicystycz-
nym, oraz pewna maniera „paniczy-

uwaga co do sposobu relacjonowa-
nia przez Autora ostatniej rozmowy
w szpitalu wojskowym prowadzonej
przez Adzia z o. Innocentym. Mimo
wszystko nie wydaje mi się, by był
on zdolny do tak lekceważącego po-
traktowania uwag i serdecznych rad
starszego brata, i to księdza-zakon-
nika.

Jest to właściwie jedyna moja pre-
tensja pod adresem dr. Majewskiego.
Z całego serca muszę mu pogratu-
lować tej pięknej książki i namówić
go, by wzorem dr. Tadeusza Boya
Zeleńskiego — zastanowił się, czy
przypadkiem literatura nie jest je-
go głównym zamiłowaniem i czy nie
powinien jej się całkowicie poświę-
cić.

Adolf Bocheński to wspaniały
przykład oddania Polsce bez reszty
swoich zdolności i życia. Nie wolno
dopuszczać, by wzór taki szedł w za-
pomnienie. I dlatego dziękujemy
Adamowi Majewskiemu za tak
piękną książkę, jaką jest: „Zaczął
się w Tobruku”. Wiernie relacjonu-
jąc wojenny okres życia Adolfa
Bocheńskiego, kres jego „drogi do
Ojca”.

*) „Ułan Karpacki”, styczeń-czerwiec
1945, nr 64, str. 25-28.

STEFAN JURKOWSKI

CZYNNOŚCI DOMOWE

Stół —

piętrzą się naczynia
jak góry

Sprzęty —

osobne ciała niebieskie
krążą po orbitach w granicach podłogi
przesuwane naszymi rękami

Taki wszechświat czynię:

tu

mechanizm ruchu jest mi znany —
unoszę się nad chaosem
nad wodą rozlaną
i widzę każde ziarno piasku
broniące się przed szczotką

Taki teatr odwieczny

gdzie wszystko dąży do miejsca spoczynku
lecz nie zna planu porządków
a niepewność jest matką nadziei...

W mieszkaniu czystym
siadam za stołem o Siódmej Godzinie
odpoczywam —
ziarenko piasku — nie wymiecione...



Ochrona przyrody i księżycowe pretensje

Z uwagą przeczytałem w „Kierunkach” nr 35/1975 artykuł M. A. Wasilewskiego „Plan człowieka i plan przyrody”. Relacjonuje on poglądy dr. Wacława Brzezińskiego na sprawy ochrony tzw. środowiska, które przez kilkadziesiąt lat nazywaliśmy po prostu przyrodą. Z zaprezentowanymi myślami warto się zapoznać i przynajmniej w niektórych punktach polemizować.

Czytamy w artykule:

„Nie jest wygodnie, że w prawie naszym znajdujemy rozproszone elementy ochrony przyrody, a brak jest jednolitego, podstawowego aktu ustawodawczego. Trzeba by niemałego trudu, aby sztucznie zebrać i wydać w jednej księdze wszystkie przepisy prawne, które zajmują się u nas ochroną środowiska i przyrody.”

Za przeproszeniem!

Jeżeli się chce osiągnąć taki stan rzeczy, aby ochrona przyrody realizowana była skutecznie, między innymi poprzez użycie tego instrumentu działania społecznego, jakim jest prawo — to trzeba przede wszystkim wiedzieć, czego się właściwie chce.

Podstawowym aktem prawnym w tym zakresie jest Ustawa o ochronie przyrody z 1949 roku, znówelizowana później. Jest więc akt prawny PODSTAWOWY, nie należy ubolewać, że go nie ma. Ale co by to miało znaczyć, że brak JEDNOLITEGO aktu? Ludzie nauki i publicyści zabierający głos w tych sprawach, także posłowie w Sejmie, wypowiadający się w okresie dyskusji i uchwalania zarówno pierwszej ustawy o ochronie przyrody, jak i znówelizowanego aktu, podkreślali, że ustawa może być tylko wstępem niejako do działania. To znaczy, że sama idea powinna przenikać także i szereg innych aktów prawnych — że staranie o ochronę przyrody powinno być wyrażone zarówno w prawie wodnym, budowlanym, łowieckim, itd., itd. Dopiero wtedy można się spodziewać istotnych efektów. Lepiej czy gorzej, ale ta główna myśl jest realizowana, a nowe ustawy dotyczące różnych dziedzin — nowe przepisy wykonawcze stopniowo coraz lepiej regulują działanie ludzi pod kątem ochrony zasobów przyrody i wymogu stwarzania coraz lepszych warunków życia.

Nonsensem jest więc pretensja, że nie ma „jednolitego” aktu ustawodawczego. Takiego być nie może — gdyby zaś go sztucznie stworzyć, musiałby być nadzwyczaj ogólnikowy i przez to mało skuteczny. Fakt, że obok podstawowej Ustawy o ochronie przyrody istnieje bardzo różne przepisy prawne normujące sprawy z nią związane, nie jest mankamentem: przeciwnie — jest osiągnięciem!

ADAM CHOWAŃSKI

Jeszcze o Adolfie Bocheńskim

W „Kierunkach” nr 37 z dnia 14.09.1975 r. ukazał się artykuł o Adolfie Bocheńskim p. Stefana Żurowskiego. Pragnę złożyć panu Żurowskiemu serdeczne podziękowanie za słowo o Adziu i dorzucić trochę własnych refleksji na ten temat.

Dnia 18 lipca 1944 roku w bitwie o Ankone jako dowódca 1 Kompanii Strzelców Karpackich otrzymałem zadanie zdobycia San Stefano. Kiedy o godz. 11 1 Kompania zdobyła San Stefano i wzięła do niewoli 70 nieprzyjaciół, nie trzeba dodawać, że w kompanii zapanowała radość. W tym właśnie momencie nadeszła wiadomość, że Adolf Bocheński poległ na polu chwały przy rozbrajaniu min niedaleko od walczącej 1 kompanii.

Adzio, ja i kilku jeszcze innych podchorążych przez szereg tygodni byliśmy uczestnikami kursu dla dowódców zorganizowanego w Heluanie, kilkanaście kilometrów na południe od Kairu. Śmierć jego odczułem bardzo boleśnie, bo na kursie miałem możliwość bliższego poznania Adzia jako człowieka wyrastającego bardzo wysoko ponad przeciętność.

Dobrze więc się stało, że dr Adam Majewski podjął trud pokazania nam osoby Adzia w książce pt. „Zaczęło się w Tobruku”, bo pamięć o nim zaginać nie może.

W artykule o Adolfie Bocheńskim p. Stefan Żurowski pisze, że książka pt. „Wojna, ludzie i medycyna” dr. Adama Majewskiego została obrzucona na emigracji w Londynie gradem obelg i wyzwisk, że p. Antoni Mitrega uważa, iż książka ta byłaby napisana w innym tonie, gdyby dr Adam Majewski był w 1939 roku oficerem i że p. Leonard Galdzina domaga się publicznego spalenia książek wydanych w kraju.

Jak bardzo niektórzy ludzie na emigracji błędzą, jak daleko odeszli od kraju, jak bardzo nie rozumieją przemian dokonujących się w świecie, jak nie usiłują zrozumieć czytelników tych książek — świadcza właśnie ich wypowiedzi.

W książce pt. „Wojna, ludzie i medycyna” dr Adam Majewski pisze: „Nie mam jednak wątpliwości, że ten zespół kolegów oficerów, z którymi byłem w batalionie, od dowódcy pułkownika począwszy, a na najmłodszym wiekiem podporuczniku Jasiu Mroczkowskim skończywszy, był wyjątkowym zespołem ludzi. Tych trzydzieści kilka postaci w różnym wieku i różnych zawodów, różnego pochodzenia społecznego, było tak dobraną całością i tak wysoko pod względem etycznym stojącym gronem, jakiego nigdy przedtem ani potem, czy to w wojsku, czy w życiu cywilnym, nie spotkałem.”

Czyż pogląd Autora, dotyczący moralnego grona oficerów rezerwy (nauczycieli, ekonomistów, lekarzy, prawników, inżynierów z zawodu) w taki właśnie sposób sformułowany, mógł stanowić podstawę do obrzucenia książki gradem obelg? Chyba nie. Być może, że krytykowany dryl koszarowy i brak umiejętności przystosowania się oficerów zawodowych do zmienionych warunków stanowił podstawę do zjadliwości z ich strony, ale świadczy to tylko, jak niewiele zrozumieli, zmitrezyli tylko czas i oderwali się zupełnie od rzeczywistości.

Nie zmieni to jednak prawdy, jaka zawierają książki pt.: „Wojna, ludzie i medycyna” oraz „Zaczęło się w Tobruku” dr. Adama Majewskiego, bo one naprawdę „dają świadectwo prawdzie” i znikają z pólek jak kamfora.

EDMUND KRÓ-
Mielec

Wzrost
5.7.75

"KISMET"

WIERK. 6.7.71

Okoliczności

śmierci

ADOLFA

BOCHEŃSKIEGO

BOHATEROWIE są zmęczeni. Taki był tytuł znanego filmu. Bohaterowie rzeczywiście wyglądali tam na bohaterów. Coż by to zresztą był za film gdyby było inaczej? Ale tutaj, w Krakowie, to nie film tylko rzeczywistość. Może dlatego wszystko układa się odwrotnie. Nietawo odnajduję ulicę, której nazwa nie przechodziłom nie mówi, a przy ulicy dom, którego numer trudny jest do odczytania. W zakrzonych oknach parteru widać słabe światło — a więc wewnątrz musi być ludzie. Mroczna ścieżka na progu wyleniały ples, drzwi bez klamki.

Pukam. Po dłuższej chwili ktoś otwiera. Na dworze już zmrok. Tu w środku jest prawie ciemno. Wchodzę do pomieszczenia przypominającego nieco składnicę ziołmu, trochę magazyn starego żelazstwa, a trochę pracownię kowalską. Wszędzie pełno krat, okuć, blach. Wszystko mocno nadgryzione rdzą. Z trudem przyskam się wąskim przejściem do drugiego pomieszczenia. Różni się ono tym od pierwszego, że są w nim jeszcze, oprócz mojego gospodarza, dwaj mężczyźni, nie pierwszej zresztą młodości. Jeden trzyma w ręku acetylenowy pal-

nik, drugi obcego. Dostrzegam też coś, co przypomina miniaturową kuźnię. Robocze ubrania wszystkich trzech są mocno przybrudzone kurzem i rdzą. Nie ulega wątpliwości — są to ludzie ciężkiej fizycznej pracy.

Tam na filmie można było od razu poznać kto jest kto. Kto siedzi pod kule, kto posługiwał się bronią, kto miał przeszłość. A tu, co może wskazywać, że do tych mężczyzn strzelano, trafiano, że wielu takich jak oni nie podnosiło się więcej. Ale i odwrotnie, że każdy z nich też nie pozostawał dłużny, oddawał z nawiazką, potrafił to robić lepiej niż żołnierze innych narodowości. Nie dar-mo byli przecież ze słynnej Christ-mas Tree Division — jak 3. Dywizję Karpaczką nazwali Anglicy — od zielonych świerczków na naramiennikach. Ale dziś, po latach, co może ich wyróżnić spośród tysięcy ludzi obojęnie mijających na ulicy? Baretek orderowych nie nosi się w Polsce do cywilnych ubrań, ani tym bardziej do roboczych kombinizonów. Nawet jeśli to są baretki Virtuti Militari. Poza tym ile już czasu upłynęło, czasu, który wszystko wygładza, ściera, studzi. Przybyło lat, zmarszczek, ubyło zdrowia,

młodzieńczej werwy, pewności siebie.

Szorstkimi, niewykńczonymi schodami bez poręczy idę na górę. W pokoju jedna ściana zastawiona jest książkami od podłogi aż po sufit. Trzy pozostałe zawieszono medalionami, starymi swiatkami, przedmiotami z żelaza i drewna. Jest jeszcze niewielkie biurko, twarde stołki, szafa, dziewczęce pantofle na wysokich obcasach i tapczan, bodajże domowego wyrobu z kolorową nania i dom kawalera Virtuti Militari, uczestnika szturm na Monte Cassino, czołowego pioniera wśród Tobrukczyków, p. **Wiesław Łabędzkiego**, w ewilii artysty-rzeźbiarza, adiunkta demii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Przyszedłem tu aby się dowiedzieć jak to było pod Ankoną? Czy musiało tak być? Czy wówczas popełniono omyłkę, błąd, wydarzył się nieszcześliwy wypadek, miała miejsce nieostrożność, fanfaronada?

Wiesław Łabędzki mówi, że nie był przy tym, że do oddziału wrócił w dzień czy dwa po śmierci **Adolfa Bocacheńskiego** — 18 lipca

1944 r., kiedy już wiadomość rozszedła się lotem błyskawicy aż po oddziały tyłowe. Sam wrócił z szpitala. Dostał w rękę jeszcze pod Monte Cassino, całe szczęście — jak mówi — że nie wzięła, ważniejsza, która prowadzi dźl duto. Prawa tyko młotem znaczenie. Uderza tylko młotem więc nie musi być tak sprawnie. W ten sposób pocieszał wówczas siebie i sanitariuszy, i tak utrwał w swoim eposie o bitwie — **Melchior Wańkowicz**.

— Ale czy do rozminowywania musieli brać akurat pana, rzeźbiarza, artystę, lub **Adolfa Bocacheńskiego**, pisarza, publicystę?

— Proszę pana, do tej roboty nikogo nie brano wbrew woli. Nikogo nie ciągnięto na siłę. Przecież chodziło o precyzję, o umiejętności, o talent. Stawką było życie nie tylko pioniera rozbrajającego miny, ale życie dziesiątków ludzi, powodzenie wielu akcji. Poza tym, do rozminowywania nie nadają się żołnierze o kowalskich rękach, przeważnie nielato pobudliwi. Trzeba też mi-

nos, by odnajdywać bardzo pomysłowo zastawiane przez Niemców pułapki minowe. Oczywiście szliśmy się więcej niż inni i w d

wizji, i u Anglików na kursa

młodzieńczej werwy, pewności siebie.

Szorstkimi, niewykńczonymi schodami bez poręczy idę na górę. W pokoju jedna ściana zastawiona jest książkami od podłogi aż po sufit. Trzy pozostałe zawieszono medalionami, starymi świętymi, przedmiotami z żelaza i drewna. Jest jeszcze niewielkie biurko, twarde stołki, szafa, dziewczęce pantofle na wysokich obcasach i tapczan, badające domowego wyrobu z kolorową narzutą. To część pracowni, sypialnia i dom kawalera Virtuti Militari, uczestnika szturmów na Monte Cassino, czołowego pioniera wśród Tobrukczaków, p. Wiesława Łabędzkiego, w cywilu artysty-rzeźbiarza, adiunkta Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Przyszedłem tu aby się dowiedzieć jak to było pod Ankoną? Czy musiało tak być? Czy wówczas popełniono omyłkę, błąd, wydarzył się nieszcześliwy wypadek, miała miejsce nieostrożność, fantazjonada?

Wiesław Łabędzki mówi, że nie był przy tym, że do oddziału wrócił w dzień czy dwa po śmierci Adolfa Bocheńskiego — 18 lipca

1944 r., kiedy już wiadomość rozszedła się lotem błyskawicy aż po oddziały tyłowe. Sam wracał ze szpitala. Dostał w rękę jeszcze pod Monte Cassino, całe szczęście — jak mówi — że nie w ręce lewą, ważniejszą, która prowadzi dłużej. Prawa ma mniejsze znaczenie. Uderza tylko młotem, więc nie musi być tak sprawna. W ten sposób pocieszał wówczas i siebie i sanitariuszy, i tak to utrwalił w swoim eposie o bitwie — Melchior Wańkowicz.

— Ale czy do rozminowywania musieli brać akurat pana, rzeźbiarza, artystę, lub Adolfa Bocheńskiego, pisarza, publicystę?

— Proszę pana, do tej roboty nikogo nie brano wbrew woli. Niczego nie ciągnięto na siłę. Przecież chodziło o precyzję, o umiejętności, o talent. Stawką było życie nie tylko pioniera rozbrajającego miny, ale życie dziesiątków ludzi, powodzenie wielu akcji. Poza tym, do rozminowywania nie nadają się żołnierze o kowalskich rękach, przewrażliwieni, łatwo pobudliwi. Trzeba też mieć nos, by odnajdywać bardzo pomysłowo zastawiane przez Niemców pułapki minowe. Oczywiście szkoliliśmy się więcej niż inni i w dywizji, i u Anglików na kursach

armijnych. Jak tylko były jakieś nowe typy min organizowano szkolenie. Jeździliśmy, a później przeskakiwalismy naszych pionierów i innych żołnierzy.

— Pyta pan czy Adolf zrobił błąd, wówczas pod Ankoną? Czy był nieostrożny? Czy się znał do statecznie na minach? Czy, gdybym ja rozbrajał, uniknąłbym wybuchu? Na to trudno odpowiedzieć. Mam jednak własne zdanie i nie odpstapię od niego, choć może ktoś powie, że jest nieracjonalne. Na wojnie potrzebne jest szczęście — kismet. To jest zasadnicza sprawa. Przeżyli ci, co mieli więcej szczęścia, zginęli ci, co mieli go mniej. Oczywiście nie mówię o tych z formacji tyłowych, gdzie wielu było dekokników.

Niech pan weźmie, tyle razy wypadało mi iść na przedpole poza na najbardziej wysunięte linie naszego wojska, tyle rozbroilem min...

Mojm zdaniem Bocheńskiemu nie dopisało szczęście, a nie brak fachowości lub nieostrożność. Był przecież świetnym pionierem. To nie podlega dyskusji. Miał kolosalne doświadczenie, tyle razy chodził na patrol, Monte Cassino, przeszedł Tobruk, Monte Cassino,

rozbroił mnóstwo min, a na tej jednej wpadł. Co prawda na drodze była pułapka minowa, to wiemy. Rozbrajał zadaje się nie Bocheński, a wachmistrz Juraszek. Bocheński, który miał jedną rękę ranną, unieruchomioną na temblaku, stał obok niego, mówił mu coś radził lub pomagał tą drugą zdrową. Zginęli reszta nie tylko oni dwaj, zginęli również oficerowie włoscy, którzy jako lepiej zorientowani w terenie również podeszli do zaminowanego mostku.

Chyba nigdy nie dojdzie się jak to było dokładnie z tą śmiercią. Trudno mi odtworzyć nawet czy oni odskoczyli sami od głównej kolumny, by znaleźć boczną, możliwą do przejechania drogę, czy też ktoś jednak w rozsądnej odległości zatrzymał się obserwując ich. Pamiętamy, że Niemcy metodycznie niszczyli wszystkie szlaki komunikacyjne i posuwanie się znotoryzowanych kolumn napotykało przeszkody. A dywizja miała rozkaz aby jak najszybciej uchwycić port w Ankonie. Mogli więc szukać objazdu na własną rękę, odjechawszy w bok bez żadnej asysty. Taka była m. in. rola oddziału, którym dowodził Adolf Bocheński. To jednak nie

było najniebezpieczniejsze zadanie, jakie wykonywał pionier, ani tym bardziej, jakie wykonywał Bocheński. Ani ostrzału, ani specjalnego pośpiechu, biały dzień. To było zadanie, w którym nie dopisał mu tylekroć niezawodny kismet. Może mi pan wierzyć. Przecież całą wojnę to właśnie robilem, co robił Bocheński. Bez fałszywej skromności powiem, że uważano mnie za specjalistę od rozminowywania. Mogę więc dość autorytatywnie mówić na ten temat.

Mnie mój kismet nie zawodził, aż do ostatniego dnia wojny. Dzięki temu mogłem skończyć Akademię Sztuki w Rzymie, wrócić do kraju, wychować córkę, posłać ją na studia, rzeźbić dla Wawelu przez 12 lat, zrobić wielki zegar słoneczny dla Zamku w Piaskowej Skale, odrestaurować Drzwi Gnieźnieńskie, które są przecież Waszym paxowskim symbolem, odczytać na nich nieznaną napis — a on musiał zostać na cmentarzu w Loreto.

KAROL PASTUSZEWSKI

OD REDAKCJI:

Ciekawe byłyby przekazy bezpośrednich świadków opisywanych wydarzeń. Kto je pamięta?